DWOJAKIE PRĄDY,

— CZYLI —

Order Carski w rodzinie Wolskich.

DRAMAT W 5-ciu AKTACH,

Napisał **JANUSZ.**

NAKŁADEM AUTORA.
Drukiem Spółki Nakładowej Wydawnictwa Polskiego,
141-143 W. Division Str., CHICAGO, ILL.
1903.

584328.
AE 88

DWOJAKIE PRĄDY,

— CZYLI —

Order Carski w rodzinie Wolskich.

DRAMAT W 5-ciu AKTACH,

Napisał JANUSZ.
[Nauman Kosiniuer]

NAKŁADEM AUTORA.
Drukiem Spółki Nakładowej Wydawnictwa Polskiego,
141-143 W. Division Str., CHICAGO, ILL.
1908.

AKT I.

(Biblioteka w domu Wolskich. Z lewej strony biurko. Joanna robi porządek.)

SCENA I.

Joanna, później Józef.

JOANNA.

Panienka zaraz przyjdzie. Będzie pisała listy. Ile ona ma przyjaciółek.... Powiadam państwu, jak Bozię kocham, dopiero od tygodnia bawi w domu, a już tyle listów wysłała w świat, że więcej nie wysełа nasz dyrektor, pan Kruszewski. (Spostrzega wchodzącego Józefa.) A pan Józef czego tutaj szuka?

JÓZEF.

Myślałem, że jest tutaj panicz. Zresztą, gdzie panna Joanna, tam zawsze i jej sługa. (Kłania się.)

JOANNA.

Natręt z pana Józefa, jak komar w lipcu.

JÓZEF.

Nie jak komar, lecz jak pszczółka, spragniona miodu. (Klepie ją po ramieniu.)

JOANNA (z przymileniem).

Osa z pana Józefa, a nie pszczółka.

JÓZEF.

Do miodu z ustek panny Joanny zlatują się pszczoły i osy. Ja jestem pszczółką, więc kiedy dostanę buziaka?

JOANNA.

Po ślubie, a tymczasem tak. (Podaje mu do pocałowania mały palec.)

JÓZEF.

Ktoby tam wyprawiał wesele, nie wiedząc, czy miód słodki. Do widzenia! Muszę uciekać. (Całuje Joannę w rękę i wychodzi.)

JOANNA.

Ach, ci mężczyźni, jacy oni wstrzemięźliwi. Już przecie jestem z Józefem po zmowinach, a on mnie nawet ukradkiem, jak Bozię kocham, nie pocałował w twarz. (Marynia wchodzi z lewej strony.)

SCENA II.

Joanna, Marynia.

MARYNIA.

Nie było tu pana Stanisława?

JOANNA.

Dopytywał się właśnie o panicza Józef. Miał tu być, lecz jeszcze nie był. Czy mam go poprosić?

MARYNIA.

Nie potrzeba, Joasiu. Przyjdzie sam niezawodnie, skoro mu czas pozwoli. Odejdź, Joasiu. Zabiorę się do pisania listów. (Joanna odchodzi; Marynia siada.)

Jak szczęśliwą czuję się dzisiaj w domu, wśród rodziny. Jak piękną jest ta nasza Warszawa. Ile tu życia i ruchu, pomimo srogiego ucisku Moskali. Wróciłam dopiero przed tygodniem z Krakowa, z pensyi. Otwiera się teraz przedemną świat. Za

kilka dni będę na pierwszym balu. Biała suknia z trenem.... rękawiczki takie długie.... na szyi sznur prawdziwych pereł. Podobno jestem nie brzydka. Tak mi wszyscy mówią, nie wyłączając ojca i brata. Będzie o czem pisać przyjaciółkom.

SCENA III.

Marynia, Kruszewski.

(Wchodzi Kruszewski.)

KRUSZEWSKI.

Całuję rączki pannie Maryi. Sądziłem, że zastanę tu Stanisława.

MARYNIA.

Spodziewam się go lada chwili. Co słychać we fabryce?

KRUSZEWSKI.

Interesa idą dobrze, a z przybyciem pani brata nowy duch ożywił naszych ludzi. Wszyscy weseli, pełni nadziei, odkąd im oświadczyłem, że na czele przedsiębiorstwa stanął młody pan Wolski.

MARYNIA.

Jakże się z tego cieszę. Część zasługi spada i na pana, panie Kruszewski, jako na prawą rękę przedtem mojego ojca, teraz — brata.

KRUSZEWSKI.

"O! rękę karaj, nie ślepy miecz!" — powiada Ujejski. Pomni tych słów, błogosławią robotnicy nie miecz — to znaczy mnie — lecz rękę, a więc Stanisława.

MARYNIA.

Ponieważ ręka bez miecza jest bezsilną, robotnicy nasi nie mają racyi.

KRUSZEWSKI.

Jesteś pani na mnie zbyt łaskawą.

MARYNIA.

Jestem tylko sprawiedliwą. (Do siebie.) Jaki on przystojny! Ile w tej twarzy przebija się szlachetności, energii i charakteru!

KRUSZEWSKI.

Korzę się przed wyrokiem ostatniej dla mnie instancyi. (Do siebie.) Jej dobroć przejmuje mnie do głębi serca. (Wchodzi Stanisław.)

SCENA IV.

Marynia, Kruszewski, Stanisław.

STANISŁAW.

Dzień dobry! Zajęty przeglądaniem modeli maszyn, spóźniłem się na pogadankę.

MARYNIA.

Z kim?

STANISŁAW.

Najprzód z tobą, kochana siostrzyczko (całuje ją w czoło), a potem z tobą, przyjacielu. W obecnych warunkach możemy pomówić we troje. Co słychać? (Siada.)

KRUSZEWSKI.

Robotnicy przyjęli z ogromną radością wiadomość o przyrzeczeniu powiększenia płacy.

STANISŁAW.

Bawiąc w Brukseli i Gandawie przez pięć lat, doszedłem do przekonania, że gdzie robotnika należycie wynagradzają za jego pracę, tam znika grunt podatny do agitacyi międzynarodówki. Dobrobyt podnosi poziom oświaty i patryotyzmu.

MARYNIA.

Słyszałam nieraz na pensyi w Krakowie, że nawoływanie gazet do patryotyzmu odbija się bez echa o serca ludu, pogrążonego w nędzy materyalnej i ciemnocie.

KRUSZEWSKI.

Święta prawda.

STANISŁAW.

Słuchajcie! Zbliża się czterdziesta rocznica ostatniego powstania. Zamierzam w dniu 22 stycznia otworzyć szkołę dla dzieci naszych robotników, zamierzam założyć czytelnię fabryczną, bank oszczędności, kasę emerytalną, salę odczytów i wspólnych zabaw. Tego wszystkiego niema w Rosyi, niech będzie u nas, w Polsce.

MARYNIA (wstaje.)

Kochany Stasiu, pozwól się uściskać. Jestem dumną z takiego brata. (Ściskają się.)

KRUSZEWSKI.

Stanisławie! Panno Maryo! Patrząc na państwo, pozbywam się uczucia zwątpienia i utwierdzam się w przekonaniu, że jeszcze Polska nie zginęła.

STANISŁAW.

Niech każdy czyni, co każe duch Boży, a całość sama się złoży. (Milczenie. Wchodzi Anzelm Wolski.)

SCENA V.

Ciż, Anzelm.

ANZELM.

Chodzę, panie, po salonie, szukam, panie po pokojach panieńskich, zaglądam do gabinetu Stanisła-

wa, a tu, panie, odbywa się konferencya w bibliotece. Chciałem z wami pomówić.

KRUSZEWSKI.

Sądzę, że moja obecność byłaby zbyteczną na pogawędce familijnej. Żegnam państwo. Spieszę do fabryki.

ANZELM.

Do widzenia się, panie, panie Kruszewski. (Kruszewski odchodzi. Anzelm wpatruje się w Marynię i mówi:) Córunia dobrze wygląda. Męża znajdziemy prędko. Postaraj się tylko o ładną toaletę, ażebyś, panie, nie zrobiła mi wstydu na balu w resursie. Będzie tam dużo ładnych panien, dużo fraków i dużo, panie, lśniących mundurów. Warto, panie, ubiegać się o zaszczyt zostania królową balu.

MARYNIA.

Czy i w oczach rosyjskich oficerów, ojczuszku?

ANZELM.

Dla czegoż nie? Są między nimi bogaci hrabiowie i książęta, ludzie wpływowi.

STANISŁAW.

Ale zawsze Moskale. Mnie wystarczy, jeżeli nasza Marynia zostanie uznana królową balu przez swoich.

ANZELM.

Zawsze jeszcze z ciebie, panie, belgijski szowinista, a tymczasem tutaj czasy się zmieniły. Rosyanie rozumieją, że stanowimy zachodnie przedmurze słowiańszczyzny; my rozumiemy, że przodujemy pod względem kulturnym wszystkim szczepom słowiańskim, lecz potrzeba nam, panie, łapy niedźwiedzia

północy, ażeby nie uledz opancerzonej pięści berlińskiego Krzyżaka.

MARYNIA.

Może być, ojczuszku, że masz racyę, lecz przyznam się, że sam widok moskiewskiego munduru przejmuje mnie wstrętem.

STANISŁAW.

Nie pięść opancerzona Niemca i nie niedźwiedzia łapa Moskala stanowić wkrótce będą o losach Polski i losach słowiańszczyzny. Jako szczep najwięcej cywilizowany staną Polacy na czele stu milionów Słowian, ażeby skruszyć berła władców berlińskich i petersburskich, ażeby wywalczyć wolność własną i wolność pobratymców. Tymczasem każdy uniform oficerski, każdy mundur urzędnika stanowi dla nas znak czynownictwa, służącego nie słowiańszczyźnie, lecz jej tyranom.

ANZELM.

Młodość, panie, powiadam ci, młodość i wpływ wychowania się za granicą.

STANISŁAW.

Nasz dziadek, ojcze, nie chował się za granicą.

ANZELM.

I dla tego złamał życie, i dla tego, panie, przyczynił się do powiększenia nieszczęść kraju, i dla tego ma umysł zaciemniony.

MARYNIA.

Jest męczennikiem za sprawę narodową, ojczuszku.

STANISŁAW.

Jest żywym dowodem, że między caratem a Polską znajduje się przepaść, którą wypełnić można

tylko krwią. Trzeba nam mnożyć i wzmacniać nasze szeregi przez zbliżanie się do ludu, przez podnoszenie w nim oświaty, przez doprowadzenie go do dobrobytu, przez wyrabianie w nim poczucia prawdziwego patryotyzmu. W roku 1863 miała Polska bohaterów tysiące. Stworzyć nam trzeba takich bohaterów setki tysięcy.

ANZELM.

Deklamacya, panie, kochany synu, deklamacya. Marynia niech zostanie królową balu, uznaną przez wszystkich. Ty prowadź fabrykę, sprowadzaj ulepszone maszyny, trzymaj w ryzie robotników, zasypuj rynki rosyjskie naszymi wyrobami. Rosyjskie ruble w naszym kraju, to grunt. Politykę zostawmy dyplomatom.

STANISŁAW.

Mylisz się, ojcze. Dyplomaci są tylko narzędziami w ręku tych, którym służą. Przez setki lat była Polska polem popisów dla cudzych dyplomatów, w obec których nasi królowie i senatorzy nie mieli przed sobą jasno wytkniętych celów. Czas najwyższy, ażebyśmy kierowali się odtąd sami naszą własną, prawdziwie polską i słowiańską polityką.

ANZELM.

Moja polityka opiera się o Petersburg.

STANISŁAW.

A moja o Warszawę, Poznań, Kraków, Lwów i Wilno.

MARYNIA.

Kocham cię, Stasiu, bądźmy Polakami.

ANZELM.

A ja, panie, powiadam.... Petersburg.

STANISŁAW.

Warszawa, Poznań, Kraków.

MARYNIA.

Lwów.... Wilno.

(Obraz — Kurtyna spada.)

AKT II.

Odsłona Pierwsza.

(Aleja w ogrodzie Saskim. Po prawej stronie sceny siedzi na ławie zadumany kapitan Urusow. Ujrzawszy wchodzącego generała, wstaje i salutuje.)

SCENA I.

Kapitan, Generał.

GENERAŁ.

Pozdrawiam kniazia Aleksieja Aleksiejewicza. (Kapitan kłania się.) Nie widziałem was od balu w resursie. Jak się wam podoba Warszawa? Polacy nie kąsają?

KAPITAN.

W Warszawie dla nas otwiera się świat. To kraj cywilizowany. U nas pod powłoką pozornej cywilizacyi barbarzyństwo; tutaj wytworność, elegancya, swoboda w obejściu, wolność.

GENERAŁ.

Tak mi mówicie, jak gdyby jaka Laszka zadała wam lubczyku. Czy może królowa balu w resursie, panna Wolska?

KAPITAN.

Nie żartuj, generale. Piękna jak anioł, a dumna jak królowa. Tańczyła ze mną tylko raz, a gdy nazajutrz złożyłem jej wizytę, przyjęła mnie jak carowa swego kamerdynera.

GENERAŁ.

Polacy i Polki stronią od Ruskich. Tylko arystokracya politykuje z nami. A jednak dziwi mnie, co mówicie. Pan Wolski bogaty fabrykant i nie arystokrata. On sprzyja nam widocznie. Bywa w naszym klubie, grywa z nami w karty, pije z nami wino, na galowym bankiecie wniósł zdrowie naszego cara.

KAPITAN.

Generale, byłeś przyjacielem mojego ojca, bądź i moim przyjacielem.

GENERAŁ.

Charaszo, kniaziu Aleksieju Aleksiejewiczu.

KAPITAN

Zakochałem się w pannie Maryi Wolskiej. Będzie to dla mnie szczęściem lub nieszczęściem. Wieje od niej ku mnie chłód, który tem bardziej rozżarza we mnie krew. Czuję, że bez niej żyć nie mogę.

GENERAŁ.

Wierzę; panna piękna i bogata.

KAPITAN.

O jej majątek nie dbam. Mam go dosyć, lecz jej uroda....

GENERAŁ.

Generał gubernator zawsze mawia, że Ruskie powinni żenić się z Polkami. Polskie plemię powinno asymilować się ze szczepem wschodnich Słowian. Da, da! Znam Wolskiego. Odwiedzę go i poproszę, ażeby wam pozwolił bywać w domu i starać się o rękę córki.

KAPITAN.

Generale! słowo oficerskie, że moja wdzięczność....

GENERAŁ.

Czy tylko Aleksiej Aleksiejewicz kniaź Urusow nie spolszczy się pod wpływem pięknej Laszki.

KAPITAN.

Generale! Urodziłem się Rosyaninem i umrę nim. Miłość żony nie zagłuszy we mnie miłości ojczyzny. Żona za mężem, dzieci za ojcem. Żaden Urusow nie sprzeniewierzył się carowi i Rosyi.

GENERAŁ.

Da, da! Zobaczymy co będzie. (Odchodzą na lewo.)

Odsłona druga.

(Scena przedstawia bibliotekę Wolskich, jak w akcie pierwszym. Z prawej strony wchodzi Anzelm.)

SCENA II.

Anzelm.

ANZELM (w zamyśleniu.)

Co to znaczy stracić mężowi żonę, a dzieciom matkę, Mam, panie, czyste utrapienie z temi dziećmi. Zamiast wychować je tu, w kraju, oddałem, panie, Marynię do Krakowa na pensyę, a Stasia kazałem kształcić w tej przeklętej, liberalnej Belgii. Wrócili do domu z zawróconemi głowami. Czytałem kilka urywków z listów Maryni do przyjaciółek. Skaranie Boże, panie, czego tam niema. Plecie, jak gdyby wychowywał ją nieszczęśliwy dziadek. Taka, panie, patryotka, że co Polak, to anioł, a co Rosyanin, to dyabeł. Tfu, z takiemi ideami. Taki patrotyzm chleba teraz nam nie da, stanowiska nie wyrobi....

Albo, panie, ten Stanisław: patryota panie, demokrata i marzyciel. Przewraca mi fabrykę do góry nogami. Podwyższa ludziom płacę, zamierza zakładać szkoły, kasę oszczędności, bank i szpital. Zabawy.... odczyty.... Do czego to wszystko? Co na to powie rząd?.... Utrzymuję dobre stosunki z Rosyanami, generał gubernator zaprasza mnie na galowe obiady, uchodzę w oczach rządu za osobę godną zaufania, a tutaj, panie, własny syn wchodzi mi w paradę. Co tu począć? Deklamacyą, uporem, górnolotnymi frazesami poetów Polski nie odbudujemy, a w danym razie stracić możemy to, co jesszcze, panie, posiadamy. Wiem, co zrobię. Trzeba gasić pożar w zarodku. Poezyi przeciwstawiać trzeba prozę, frazesom argumenty, uporowi młodzieży, panie, stanowczość męża. Precz z chorobliwem marzycielstwem! Stójmy na gruncie realnym. (Chce odejść, lecz zatrzymuje się.) A jeżeli uporu dzieci nie przełamię? Co wtenczas? Między mną, a nieszczęśliwym, obłąkanym ojcem taka wielka, nieprzebyta przepaść. Co będzie, jeżeli między mną, a własnemi memi dziećmi taka sama utworzy się przepaść? Przyjdzie oszaleć! Boże! zmiłuj się nademną.

(Odchodzi przez główne drzwi. Po chwili z lewej strony nadchodzi Marynia.)

SCENA III.

Marynia, później Kruszewski.

MARYNIA.

Niczem Planty krakowskie w porównaniu z tym naszym ogrodem Saskim. Ach, ta Warszawa! (Siada.) Jakie kochane to moje gniazdo rodzinne. Ojciec pieści, Stanisław uprzedza każdą myśl, na balu

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

otaczał mnie rój młodzieży, a pan Kruszewski tańczył.... ach, jak on tańczy. Jaki on zresztą przywiązany do Stasia, a jaki oddany sprawom robotników i sprawom ojczyznę obchodzącym. A jakie ma wyraziste oczy....

(Wchodzi Kruszewski i spostrzega Marynię.)

KRUSZEWSKI.

Kogo tu widzę? Czy królowa balu rozmyśla jeszcze dotąd o swych podbojach w resursie?

MARYNIA.

Do rzędu osób próżnych nie zaliczam się.

KRUSZEWSKI.

A więc ujawnia się u pani jedna zaleta więcej.

MARYNIA.

Na pensyi powtarzano nam nie raz, że pochlebstwa, wypowiadane przez mężczyzn, są podobne do wiatru w polu.

KRUSZEWSKI.

Co w ustach jednego jest pochlebstwem, stanowi w ustach drugiego słowa najszczerszego przekonania.

MARYNIA.

Mówisz pan dzisiaj tak poważnie, panie Kruszewski, że mnie to zastanawia.

KRUSZEWSKI.

Ponieważ noszę się z poważnemi myślami.

MARYNIA.

Czy rozchodzi się o nowy jaki szpital lub dom przytułku?

KRUSZEWSKI.

Tym razem, nie. Rozchodzi się o sprawę osobistą, od której rozwiązania zależy moja przyszłość.

MARYNIA.

Przestraszasz mnie pan.

KRUSZEWSKI.

Jako człowiek praktyczny, jako zawiadowca fabryki, posiadający utrwalone stanowisko, powiem krótko, że znalazłem na drodze mego życia ucieleśniony ideał mych marzeń, więc obudziło się w mem sercu nieznane mi dotychczas uczucie. Ja kocham.

MARYNIA (zmięszana).

Pan kocha.... (Do siebie.) O, ja nieszczęśliwa. A mnie się zdawało....

KRUSZEWSKI.

Od jednego pani słowa zależeć będzie, czy to moje uczucie stanowić dla mnie ma szczęście lub nieszczęście. Ja kocham ciebie, panno Maryo.

MARYNIA (do siebie.)

On mnie kocha. Och, jakam szczęśliwa. (Głośno.) Panie Karolu! Szanuję pana jako człowieka prawego charakteru, podziwiam jako Polaka, gotowego do poświęceń, cenię jako przyjaciela mego brata. Lecz słowa co dopiero usłyszane stanowią dla mnie niespodziankę. Jestem zbyt młoda i niedoświadczona. Nie wiem, co odpowiedzieć. Muszę namyślić się i zastanowić nad samą sobą. Nie chciałabym pana przedwcześnie zasmucać, nie chciałabym także kłamać, mówiąc, że nie sprzyjam panu.

KRUSZEWSKI.

Maryo, dzięki ci! (Całuje ją po rękach.)

MARYNIA.

Karolu, bądź dobrej myśli.

SCENA IV.

Ciż, major Wolski, Antoni.

(Wolski wsparty na kiju i na ramieniu Antoniego.)

KRUSZEWSKI.

Antoni przyprowadza starszego pana.

MARYNIA.

Dziadzio! kochany dziadzio!

WOLSKI.

Na bagnety, naprzód! Marsz! Bij, kłój, nie dawaj pardonu!

ANTONI I KRUSZEWSKI.

Biedny pan major!

MARYNIA.

Nieszczęśliwy dziadzio!

WOLSKI.

Moskal łotr, złodziej, morderca, podpalacz. Ograbili mnie, zamordowali żonę, puścili dom i gumna z dymem pożarów. Langiewicz nadchodzi.... Naprzód! marsz! Bij, morduj, nie dawaj pardonu!

ANTONI.

Tak, tak, panie majorze, nie damy pardonu.

KRUSZEWSKI.

Obłąkany od lat blisko czterdziestu.

MARYNIA.

Ofiara ostatniego powstania.

WOLSKI.

Tam Murawiew i Bezak, a tu cała sfora umundurowanych oprawców. To Moskale. Patrzcie na te łuny pożarów! Widzicie te szubienice? Słyszycie te jęki naszych braci, pędzonych na Sybir? Jaki tam

mróz, ile tu mogił, ile łez i krwi wylanej. Bij, kłój i morduj, a nie dawaj pardonu, bo to Moskal.

ANTONI.

Tak, tak, panie majorze, bijemy, kłójemy, mordujemy, nie dajemy pardonu. (Do publiczności.) Z miłości do ojczyzny stracił rozum.

(Z lewej strony wchodzi Anzelm, z prawej Stanisław.)

KRUSZEWSKI.

Bądźmy silni zgodą i jednością, a pomścimy nasze krzywdy.

MARYNIA.

W Bogu ufność i nadzieja.

(Obraz — Kurtyna spada.)

AKT III.

(Scena przedstawia salon państwa Wolskich.)

SCENA I.

Joanna, później Józef.

JOANNA (otrzepując meble.)

Co ja widziałam! Wiecie państwo, pan Kruszewski oświadczył się panience tu na tem krześle, jak Bozię kocham, a ona tu, na tej kanapie, jak Bozię kocham, zaczerwieniła się jak wiśnia i powiedziała — tak.

Ach, jakie to było zabawne. On zerwał się z krzesła, padł na kolana (naśladuje Kruszewskiego) i zawołał: Panno Maryo! ja panią kocham. To nie tak, jak ten mój ślamaza Józef, który zemną targował się o mnie, jak o gęś za Żelazną Bramą. Lecz co prawda, ja nie umiałabym tak się zarumienić, jak nasza panienka. Ja nie umiałabym być tak wstydliwą.

JÓZEF (wpada rozglądając się.)

Panno Joanno, czy panna Joanna wie?

JOANNA.

Co wiem?

JÓZEF.

Pan Kruszewski....

JOANNA.

Oświadczył się....

JÓZEF.

Komu?

JOANNA.

A bo ja wiem?

JÓZEF.

I ja nie wiem, ale niech mnie dunder świśnie, spojrzałem, tak oto, przypadkiem, przez dziurkę od klucza, i widziałem na własne oczy, jak pan Kruszewski.... panienkę.... pocałował.... w czoło.

JOANNA.

Więc cóż ztąd?

JÓZEF.

Co ztąd? Zaraz sobie powiedziałem, że kiedy panom wolno przed zmowinami całować panny w czoło, to mnie wolno, po zmowinach, pannę Joannę pocałować w twarz. (Obejmuje ją.)

JOANNA (figlarnie.)

Proszę się nie zapominać, bo będę krzyczeć.

JÓZEF.

Eh, co mi tam. (Całuje ją.)Teraz niech panna Joanna krzyczy. (Wybiega. Joanna na pozór goni go.)

JOANNA (wracając na przód sceny.)

Jakie to dziwne z nas stworzenia. Dawniej gniewało mnie, że ten Józef taki niby ślamazarny i nigdy mnie nie pocałuje, a teraz znowu gniewa mnie jego zuchwalstwo, że mnie śmiał pocałować bez mego pozwolenia. Czy ja nigdy nie będę zadowolona ze swego losu? O, będę, ale dopiero po ślubie, bo będę panią domu. Wtenczas będzie się działo wszystko po mojej woli, a nie po woli pana męża. Ale jak ten Józef ładnie umie całować....

SCENA II.

Marynia, później Stanisław i Kruszewski.

MARYNIA (rozglądając się.)

Joasiu, czy nie zostawiłam tutaj gdzie chusteczki?

JOANNA.

Oto jest, proszę panienki.

MARYNIA.

Co ty mnie podajesz? Przecież to nie moja chusteczka.

JOANNA.

Ach tak, to nie panienki chusteczka. (Ogląda znak.) K. K. Pewnie to chustka pana Kruszewskiego.

MARYNIA.

Odejdź, Joasiu! (Joanna odchodzi.) Ach, jak mi serce bije. Czy dobrze zrobiłam, przyjmując oświadczyny Karola? Ale on taki był uszczęśliwiony moją odpowiedzią, a ja pokochałam go przecież od pierwszej chwili poznania go. Staś, mój brat, także go kocha, a jaka w tym moim Karolu bystrość w prowadzeniu interesów, jaka wyrozumiałość na potrzeby robotników, jaka cześć dla najdroższych nam ideałów narodowych. Z takim mężem żyć razem i umierać. Nie, nie umierać, raczej żyć i być szczęśliwą. Och, miłość.... jakie to słodkie uczucie. A jednak, na pensyi, bardzo mało nam mówiono o tem uczuciu. Czy to tak bywa na wszystkich pensyach?

(Wchodzą Stanisław i Kruszewski, prowadząc się pod rękę. Marynia rzuca się Stanisławowi na szyję.)

STANISŁAW.

Dobrze, dobrze, kochano siostrzyczko. Jak słyszę, przyjaciela chcesz mi adoptować na szwagra. Czy tak?

KRUSZEWSKI.

Tak, Stanisławie.

MARYNIA.

Tak, Stasiu.

STANISŁAW.

Ha, tymczasem muszę wam zastąpić ojca i dać wam moje **placet.** Mam nadzieję pojednać wkrótce ojca z mojemi przekonaniami, natchnąć go wiarą w moje świętości, wskrzesić w nim iskry ognia mojej miłości, napełnić go tą, co moja nadzieją. Wówczas przygarnie i on Karola do swego łona i powie wam: Połączcie się i bądźcie szczęśliwi!

KRUSZEWSKI I MARYNIA (razem.)

Wola Twoja święta, Panie, niech się stanie!

STANISŁAW.

Róbmy, co do nas należy, a będzie, co Bóg da. Zresztą o waszych amorach pomówimy później. Mieliśmy o interesach mówić tutaj we dwójkę; jak widzę, możemy teraz radzić we troje. Cóż więc słychać?

(Siadają.)

KRUSZEWSKI.

Przedwstępne prace w sprawie projektowanej przez ciebie szkoły, czytelni, kasy, sali odczytów i t. p. już porobiono, lecz winienem c iStanisławie wyjawić coś, o czem dotychczas nie wiesz.

STANISŁAW.

Co takiego?

KRUSZEWSKI.

Od roku istnieje między naszymi robotnikami tajne towarzystwo patryotyczne.

STANISŁAW.

W jakim celu?

KRUSZEWSKI.

W celu przeciwdziałania kreciej robocie żywiołów niewiary, indyferentyzmu narodowego i anarchii, w celu utrzymywania stosunków z podobnymi do naszego komitetami w innych miastach polskich, rosyjskich, czeskich, słowackich i w ogóle słowiańskich.

STANISŁAW.

Jakie są wasze hasła?

KRUSZEWSKI.

Precz z despotyzmem. Niech żyje federacya słowiańska, uwzględniająca odrębność potrzeb różnych poszczególnych naszych szczepów, potrzeb wynikających z różnych tradycyj i różnego stopnia religijnego, ekonomicznego i kulturnego rozwoju.

STANISŁAW.

Jaka rola w tej federacyi przypada Polsce?

KRUSZEWSKI.

Rola kraju niepodległego, w granicach z czasów zygmuntowskich, z panującą religią rzymsko katolicką, z uznaniem zasady, że niema w kraju naszym różnicy stanów, że godność szlachecka, godność prawdziwie obywatelska przypada tylko w udziale

tym, których osobiste zasługi do godności tej z samej natury rzeczy wynoszą.

STANISŁAW.

Kto stoi na czele waszego towarzystwa.

KRUSZEWSKI.

Ja.

MARYNIA.

Panie Karolu! Pan nie obawiasz się być pochwyconym przez Moskali?

KRUSZEWSKI.

Za bezpieczeństwo mej osoby ręczą mi obecnie dwie Marye: panna Wolska i tamta, Częstochowska, która była, jest i będzie Królową Korony Polskiej.

STANISŁAW.

Karolu, zapisz i mnie na członka waszego Towarzystwa.

KRUSZEWSKI.

Tego nie uczynię. Ja, należąc do naszej organizacyi, ryzykuję tylko własną osobę, ty ryzykowałbyś oprócz samego siebie, majątek, spokój całej rodziny Wolskich i byt rodzin tysiąca naszych robotników, z których każdy jest prawdziwym obywatelem, gotowym stanąć do walki za naszą Wiarę i Ojczyznę.

SCENA III.

Ciż. Anzelm.

ANZELM.

Jak się macie, dzieci?

STANISŁAW.

Witam ojca.

MARYNIA.

Witam ojczuszka. (Anzelm całuje oboje w czoło.)

ANZELM.

Co nowego?

STANISŁAW.

Spodziewam się usłyszeć czegoś nowego od ciebie, ojcze.

ANZELM.

A, prawda, panie. Byłem wczoraj w klubie rosyjskim i wygrałem, panie, 300 rubli. Nie często zdarza mi się taka gratka.

MARYNIA.

Nie mogę się oswoić z myślą, że ojczuszek się tak brata z tymi Moskalami.

ANZELM.

Wiem, wiem, lecz co zrobisz ze setką rubli, które ci chcę odstąpić z wygranej.

KRUSZEWSKI (do siebie.)

Ciekawym, co kochana Marynia odpowie.

MARYNIA.

Nie żartuj, ojczuszku. Wiesz przecie, że nie obróciłabym na swój użytek pieniędzy, pochodzących z wygranej w karty, a tem mniej uzyskanych w klubie rosyjskim.

ANZELM.

Przestańcież mnie, panie, drażnić tym waszym szowinizmem. Wasze, panie, mrzonki nie zdadzą się psu na buty. Tylu, panie, przed wami było patryotów i patryotek, i co zrobili? Pożal się Boże, panie. Była coraz większa bieda, nędza i prześladowanie, a teraz, panie, chłop ma grunt, handel rozwija się,

przemysł podnosi się i żaden szlachcic, panie, na biedę nie narzeka.

STANISŁAW.

Daj pokój, Maryniu. Ty ojca nie przekonasz.

ANZELM.

Mam swoje zasady.

KRUSZEWSKI (do siebie.)

Upór, nie zasady.

STANISŁAW.

Tak, ojcze. Ty masz swoje zasady, a my nasze. Co mówisz o projekcie moich reform, który ci przedłożyłem do rozpatrzenia?

ANZELM.

Mrzonki, Stasiu, jak cię kocham. Strata czasu i atłasu. Chcesz, panie, przy fabryce zakładać szkołę. Czy to, panie, nie ma szkół miejskich? Czytelnię.... Czy to nie ma antykwaryuszów, wypożyczających książki? Odbierzesz chleb księgarzom, bankierom i nauczycielom, a co na to powiedzą inni fabrykanci, co na to powie rząd?

STANISŁAW.

Ojcze drogi. Nosząc się z projektem zamierzonych reform, nie liczę się z opinią innych naszych fabrykantów, ani z interesem rządu, lecz powoduję się dobrem tych, którzy pracą rąk swoich przyczyniają się do rozwoju naszej fabryki, którzy przysparzając nam kapitału, powiększają równocześnie źródła naszego narodowego bogactwa, powoduję się dobrem naszych robotników, jako prawdziwych polskich obywateli, w których spracowanych rękach leży przyszłość naszej ojczyzny.

MARYNIA.

Stasiu, rozporządzaj mną; ja, twoja siostra, pójdę z tobą ręka w rękę.

KRUSZEWSKI.

Pracujmy wszyscy na tej drodze, a przy pomocy Bożej dokonamy cudu.

ANZELM (z gniewem.)

A ja, panie, powiadam wam, że malowanym ojcem i panem domu nie będę. (Józef wchodzi i podaje na tacy Anzelmowi kartę wizytową.)

ANZELM (czyta.)

Generał Paweł Aleksandrowicz Kuropatkin. (Do Józefa.) Poproś!

MARYNIA.

Generał?!

STANISŁAW (do siebie.)

Znów moskiewski mundur w domu.

KRUSZEWSKI (chwyta się za serce.)

Od kiedym ja taki nerwowy? Serce tak silnie mi uderza, jak gdyby chciało rozsadzić pierś.

SCENA IV.

Ciż, Generał, później Wolski i Antoni.

GENERAŁ.

Pozdrawiam was, panie Wolski.

ANZELM.

Dziękuję za zaszczyt odwiedzenia mego domu. (Przedstawia gościa Maryni.) Generał Paweł Aleksandrowicz Kuropatkin. A to mój syn Stanisław. Pan Karol Kruszewski, dyrektor fabryki.

GENERAŁ.

Miło poznać. Miło poznać.

(We drzwiach ukazuje się Wolski, wstrzymywany przez Antoniego.)

WOLSKI.

Na bagnety, naprzód! Marsz! Bij, kłój, nie dawaj pardonu!

GENERAŁ (zdziwiony.)

A to co za wojak?

ANZELM.

To mój obłąkany ojciec, stary żołnierz. Antoni! wyprowadź starszego pana do jego pokoju!

WOLSKI (wpatrując się w generała.)

Ograbili mnie, zamordowali żonę, puścili dom i gumna z dymem pożarów. Byli to Moskale. I tyś Moskal. Precz z mego domu!

MARYNIA.

Dziadzio! uspokój się!

STANISŁAW.

Dziadzio! Tyś nieszczęśliwy.

KRUSZEWSKI.

Odprowadźmy starca do jego pokoju. (Wychodzą.)

SCENA V.

Anzelm. Generał.

ANZELM (zirytowany.)

Nie mam słów, panie generale, na wyrażenie żalu z powodu tego zdarzenia.

GENERAŁ.

Ja nie znał, że w Warszawie żyją jeszcze tacy dawni patryoci.

ANZELM.

Mój ojciec był majorem powstańców w r. 1863. Spotykał go cios za ciosem. Klęski krajowe i osobiste nieszczęścia przyprawiły go o utratę zmysłów. Nie jest zresztą szkodliwy i dla tego trzymamy go w domu.

GENERAŁ.

Da, da, były to czasy niespokojne.

ANZELM.

Lecz nauczyły nas roztropności.

GENERAŁ.

Nie lzia Polakom buntowatsia przeciw wielikoj Rosii.

ANZELM.

To też żyjemy z Rosyą w zgodzie i, panie, bardzo nam z tem dobrze. Co porabia pański przyjaciel kniaź Urusow?

GENERAŁ.

I on jest tego zdania, że Rosia z Polszą powinny żyć w zgodzie. Przyszedłem tu nawet w jego interesie.

ANZELM.

Kniaź Urusow ma interes do mnie?

GENERAŁ.

I do was, panie Wolski i do waszej córki. W imieniu Aleksieja Aleksiejewicza kniazia Urusowa spraszywaju was o pozwolenie dla niego bywania w waszym domu w celi starania się o rękę waszej córki.

ANZELM.

Byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

GENERAŁ.

Kniaź jest zakochany po uszy i będzie uważał sobie za zaszczyt, jeżeli panna Wolska zechce zostać jego żoną.

ANZELM.

U Polaków bywa zwyczaj, że dzieci stosują się do życzeń rodziców.

GENERAŁ.

A więc targ ubity. Proszę pozdrowić w mojem imieniu wszystkich, których tu poznałem.

ANZELM.

O, ja nie puszczę, panie, gościa z domu, nie wypiwszy z przyjacielem kniazia Urusowa kieliszka wina. (Klaszcze w dłonie.) Hej! służba!

(Obraz: Na przodzie sceny Anzelm i Generał. Z lewej Kruszewski trzyma za rękę Marynię. Z prawej Józef z butelką i kieliszkami na tacy. We drzwiach wprost sceny Wolski w otoczeniu Stanisława i Antoniego, wpatrzony w generała i wskazujący mu drzwi.)

AKT IV.

Pierwsza odsłona.

(Pokój w klubie rosyjskim. Po prawej stronie sceny stół, przy którym siedzą przy sztosie: trzymający bank **Sołowiew, Ligaczew, Kryłłow, Orłowskij, Bitter** — oraz stoi trzech cywilnych: **Anzelm, Semeńko i Rupcew.** Po lewej w głębi **pierwszy, drugi i trzeci oficer** i cywilny **Cwajgbaum** grają w preferansa. Po lewej na przodzie sceny stolik i dwa fotele. Przy środkowych drzwiach **Lokaj** w liberyi.

SCENA I.

Wszyscy wyżej wymienieni.

SOŁOWIEW.

Moja, twoja — moja, twoja, moja, twoja. Siódemka przegrała. (Zgarnia pieniądze.) Już? Moja, twoja — moja, twoja. Walet wygrał. (Wypłaca pieniądze.) Już? Moja, twoja....

SEMEŃKO (odprowadza Rupcewa na przód sceny.)

Sołowiewowi tylko grać w karty. Czy trzyma bank, czy poniteruje, zawsze wygrywa.

PIERWSZY OFICER.

7 pik.

DRUGI OFICER.

Kontra!

PIERWSZY OFICER.

Re!

TRZECI OFICER I CWAJGBAUM.

Ha, ha , ha!

LIGACZEW.

As wygrał sto rubli.

SOŁOWIEW.

Wierno! (Wypłaca.)

SEMEŃKO.

Ligaczew jest komisarzem do szczególnych poruszeń. Umie doić i szlachtę i chłopów i oficerów.

TRZECI OFICER.

Ha, ha, ha! Dał re i położył się bez dwóch.

CWAIGBAUM.

Bo wy źle wyszli.

KRYŁŁOW.

Czort znajet. Proigrał piać sot rublej.

SEMEŃKO.

Tego nie żal. Wydał żydowi kontrakt na dostawę owsa i dostał 10,000 łapówki.

PIERWSZY OFICER.

Pas!

DRUGI OFICER.

Pas!

TRZECI OFICER.

Rozgrywka.

ORŁOWSKI.

Ostrożnie, Sołowiew, bo Bitter rozbije bank.

SEMEŃKO.

Orłowski poczciwa dusza, ale głupi. Całą pensyę i cały dochód z majątku dzieli między dziewki, konie i klub.

RUPCEW.

A Bitter?

SEMEŃKO.

Szczwany szwab. Wygrywa w karty, wygrywa na wyścigach, umiał nawet wygrać wielki los na loteryi. Pobiera pensyi 1,200 rubli, a żyje jak milioner.

CWAJGBAUM.

Ja gram panowie, totusa bez atu.

ANZELM.

A ja stawiam na dyskę 50 rubli. Wygram, napijemy się wina, przegram, zafunduję wam wody.

SOŁOWIEW.

Moja, twoja — moja, twoja — moja, twoja. Dyska wygrała. (Wypłaca.)

ANZELM (zabiera pieniądze, siada na fotelu i mówi do lokaja.)

Przynieś nam kosz szampana.

LIGACZEW, KRYŁŁOW, ORŁOWSKI I BITTER (razem.)

Brawo! Wolski. (Lokaj przynosi wino i nalewa w kieliszki.)

ANZELM.

Wiem, panie, że mam racyę, a trapi mnie niepokój. Nie znajduję przyjemności ani w kartach, ani w winie. Związek córki z kniaziem Urusowem stanowi przecież szczęście dla mojego domu, a córka mi więdnie jak kwiat na mrozie. Jestem życzliwy dla moich robotników, a oni widzą we mnie nie ojca, lecz ojczyma. Rozumiem, na czem polega dobro tego kraju, a własny syn staje mi w drodze i do innego, niż ja, panie, dąży celu. Ha! trudno. Słowo się

rzekło, panie, i cofać się nie można. Że ojciec mój postradał zmysły, nie wynika ztąd, ażebym i ja nie miał jasno i zdrowo patrzeć na świat. Stromą, panie, jest droga na szczyt góry, lecz ztamtąd roztacza się widok na dalekie horyzonty.

LOKAJ.

Pan generał prosi Wielmożnego pana na partyą winta.

ANZELM.

Idę, idę. (Wychodzi.)

SCENA II.

Ciż, oprócz Anzelma, później Kapitan.

SOŁOWIEW.

Wolski dzisiaj nie w humorze.

LIGACZEW.

Myśli, jak wysoko podnosić głowę, gdy zostanie teściem kniazia.

KRYŁŁOW.

Da, da, niech Ruskie żenią się z Polkami.

KAPITAN (wchodząc.)

Pozdrawlaju was, gospoda!

WSZYSCY (przy większym stole.)

Zdarowia żełajem.

PIERWSZY OFICER.

Ha, ha, ha! Cwajgbaum na mizerkę z kontrą położył się bez sześciu.

KAPITAN (siada przed stolikiem.)

Czy ona nie wzruszy się memi prośbami? Ja ją tak kocham, a czem w obec mnie jest Kruszewski. O, ja wiem, że on jest moim rywalem. Lecz Urusow

nie zejdzie z pola walki bez zwycięstwa. Ojciec każe, córka musi. Ten wieczny smutek na jej twarzy rozdmuchuje jeszcze bardziej żar w mem sercu. Otoczę ją przepychem, słać będę kobierce róż pod jej stopy, połykać będę jej łzy, dopóki uśmiech nie rozpromieni jej lica, dopóki nie powie, że czuje się szczęśliwą w mem objęciu.

SOŁOWIEW.

Czort bieri! Bank rozbity. Nie gram już.

BITTER.

Już późno.

KRYŁŁOW.

Pajdom domoj. (Wychodzą. Odedrzwi wraca Rupcew.)

SCENA III.

Kapitan, Rupcew, Oficerowie przy preferansie.

RUPCEW.

Chciałbym pomówić z panem kapitanem.

KAPITAN.

Szło takoje?

RUPCEW.

Mam żonę, dzieci, a pensya mała. Ponieważ pracuję w osobiennoj otdielenii, złożono przypadkiem na moje ręce donos z dowodami.

KAPITAN.

A co mnie obchodzą wasze donosy?

RUPCEW.

Ważna sprawa. Sprzysiężenie.

KAPITAN.

Sprzysiężenie! Kto skompromitowany?

RUPCEW.

Dom państwa Wolskich.

KAPITAN.

Co ty mówisz?

RUPCEW.

Mam dowody.... pan Kruszewski.... lecz mam także żonę, dzieci, a pensya mała....

KAPITAN.

Gdzie te dowody?

RUPCEW.

Oto są, kniaziu Urusow. (Podaje mu papiery.)

KAPITAN (przeglądając papiery.)

Stowarzyszenie patryotyczne.... fabryka Wolskich.... 50 członków.... Karol Kruszewski organizator i prezes zarządu. (Do siebie.) Doskonale, czeka go szubienica.... Nie! nie uczynię tego, gdyż byłoby to z mojej strony podle. Lecz pozbędę się rywala i Maryla będzie moją. Tak, Marylka będzie moją na zawsze. (Głośno.) Zostaw mi te papiery. Czy oprócz ciebie nikt ich nie widział?

RUPCEW.

Nikt, oprócz mnie i was, kniaziu.

KAPITAN.

Dobrze, jutro otrzymasz przekaz na tysiąc rubli. Proszę odejść.

DRUGI OFICER.

Ha, ha, ha! Mam czwartą damę w atu, wychodzę i jeszcze ich obkładam.

WSZYSCY GRACZE.

Ha, ha, ha! (Zasłona spada.)

Druga odsłona.

(Salon w domu państwa Wolskich, jak w akcie IIIcim.)

SCENA IV.

JÓZEF.

Coś tu w tym domu wszystko idzie do góry nogami. Pan ojciec, zamiast po przyjeździe dzieci odżyć i weselić się, nadrabia niby miną, lecz jest kwaśny, jak gdyby zamiast wina pił ocet. Pan Stanisław gryzie się i martwi, gdyż zdaje mi się, że z jego szkoły, z jego banku dla robotników i z innych pięknych rzeczy będą nici. Pan Kruszewski, zamiast wydrzeć Moskalom Polskę, nie może kapitana odsadzić od naszej panienki, wzdycha więc, jak kowalski miech i chodzi, jak struty. Panienka płacze a płacze, nieboga. Czego ona tak płacze, kiedy ją wszyscy tak kochają.

Pan kapitan jest wprawdzie Moskal, lecz pomimo to bardzo porządny człowiek. Znać w nim prawdziwego księcia. Nie odejdzie, nie dawszy na odchodnem papierka, a jak mu zbrakło raz drobnych, nie poskąpił pół imperyała w złocie. Mam już od niego tyle rubli, że jest za co wyprawić wesele.... Fe, drabie! Wstydź się, Józefie! Gdzieby tam Polak wyprawiał wesele za moskiewskie pieniądze? Czy to nie mam innych oszczędności? Czy to moja Joasia jest Moskiewka? (Wychodzi.)

SCENA V.

Marynia, później Kapitan.

MARYNIA.

Boże drogi! Co ja komu zawiniłam? Karol mnie kocha, a i ja także kocham go całem sercem, całą

duszą. Niema przecież w tem nic dziwnego. On taki dobry, taki szlachetny, taki patryota. Nawet Stanisław jest mu przyjacielem. Czemu rodzony ojciec staje mojemu szczęściu w drodze? Kapitan jest zacnym człowiekiem, pochodzi z wysokiego rodu, posiada majątek, wykształcenie, ułożenie, i nosi tytuł księcia. Tak, lecz jest Moskalem, wrogiem mej wiary i ojczyzny. A ojciec.... każe.... O, ja nieszczęśliwa. (Szlocha.)

JÓZEF.

Pan kapitan, książę Urusow.

MARYNIA (do siebie.)

Znowu on, zawsze on, o serce, nie pęknij z bólu. (Głośno.) Prosić! Należy mi pamiętać, że jestem Wolską, że jestem Polką.

URUSOW.

Dzień dobry! (Całuje ją w rękę.) Panno Maryo! Czy czoło jej nigdy się nie wypogodzi? Czy uśmiech nigdy nie zaigra na jej ustach w mojej obecności? Moja miłość zasługuje na względy.

MARYNIA.

Mój spokój wart także pewnych względów.

URUSOW (dobywa papiery.)

Panno Maryo! Te papiery w mojem ręku stanowią dowód, jak bardzo panią kocham i jak bardzo dbam o pani spokój. Po raz pierwszy sprzeniewierzyłem się obowiązkom względem cara, względem mej ojczyzny i względem tej szpady oficerskiej, którą noszę.

MARYNIA.

Wybacz pan, lecz nic nie rozumiem.

URUSOW.

Chwilkę cierpliwości. Postaram się o to, ażebyście zrozumieli mnie wszyscy. Pozwoli pani przywołać mi Józefa. (Podchodzi ku drzwiom i klaszcze w dłonie. Do wchodzącego Józefa.) Proszę poprosić pana Anzelma, pana Stanisława i pana Kruszewskiego.

MARYNIA.

Co to ma znaczyć? Postępowanie pańskie staje się zagadkowem.

URUSOW.

Masz pani słuszność. Dla samego siebie stanowię zagadkę. Rozum powiada: Urusow stój, za daleko zaszedłeś, a serce pcha mnie naprzód, w jakąś dal mroczną, może w bezdenną dla mnie przepaść, ażeby tylko przywołać uśmiech na twe usta, pani, ażeby usłyszeć echo mego serdecznego wykrzyku — kocham.

SCENA VI.

Ciż, Anzelm, Stanisław i Kruszewski.

ANZELM (wchodząc z drzwi naprzeciw sceny.)

Dzień dobry księciu panu! A co, panie? Młodzi gruchają, jak para gołąbków.

KRUSZEWSKI (wchodząc z lewej strony pod rękę ze Stanisławem, do niego.)

Patrz, znowu ten Urusow.

STANISŁAW (do Kruszewskiego.)

Cierpliwości! (Głośno.) Witam księcia! (Podaje mu rękę. Kruszewski pozdrawia, kłaniając się.)

KRUSZEWSKI.

Pan kapitan nosi się z papierami, jak adjutant generała z rozkazem dziennym.

URUSOW.

Nie, panie Kruszewski. Te papiery są ważniejsze, niż zwykły dzienny rozkaz generalski.

ANZELM.

Kochany książę mówi dzisiaj z niezwykłą powagą.

URUSOW.

Tak, panie Wolski. Jak audytor w tutejszej cytadeli.

STANISŁAW.

Książę przestraszasz nas wszystkich. Patrz, jak zbladła moja siostra.

URUSOW.

I mnie trapi niepokój i dlatego, panie Kruszewski, proszę mi powiedzieć szczerze, co pan wiesz o tajnem kółku patryotycznem, do którego należą robotnicy tutejszej fabryki.

MARYNIA (do siebie.)

Boże! Jesteśmy zgubieni. (Kruszewski milczy.)

ANZELM.

Bajki, panie! Nic nie wiem o żadnem kółku w naszej fabryce.

STANISŁAW.

Istnieje w tej sprawie niewątpliwie jakieś nieporozumienie.

URUSOW (przeglądając papier.)

Tajne kółko patryotyczne.... 50 członków, robotników z fabryki Wolskich.... Organizatorem kółka i prezesem zarządu Karol Kruszewski....

ANZELM.

Co to jest?

STANISŁAW.

Zkąd ta wiadomość?

KRUSZEWSKI.

Tak jest, panie kapitanie. Istnieje takie kółko i ja takowe zorganizowałem. Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Możesz mnie aresztować.

MARYNIA.

Boże, ratuj! (Pada na kanapę.)

URUSOW.

Panno Maryo, uspokój się pani. Panowie! Wierzę panu Stanisławowi, że istnieje tu jakieś nieporozumienie. W oczach pani, panno Maryo, drę ten papier, niebezpieczny dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla pana, panie Kruszewski. Panno Maryo, czy spotka mnie jeszcze raz zarzut, że nie dbam o spokój pani?

MARYNIA.

Książę! Postąpiłeś szlachetnie. Ofiaruję ci w zamian wszystko, co ofiarować mogę: dozgonną wdzięczność i — przyjaźń.

KRUSZEWSKI.

Rozumiem, o, rozumiem. Zabrakło dla mnie miejsca w tym domu. Bądź zdrowa, panno Maryo i — szczęśliwa. (Całuje ją w rękę.) Panie Wolski, żegnam pana! (Podaje Anzelmowi rękę.) Stanisławie! Prysły marzenia, jak bańki mydlane. Zyskuję wolność kosztem uczucia najdroższej mi istoty. Uciekam przed pościgiem żandarmów, jak zbrodniarz, ażeby wieść życie bez celu, zdala od swoich, na wygnaniu. (Całuje się ze Stanisławem.) Bywajcie zdrowi! Odchodzę. (Wychodzi.)

MARYNI...

Karolu! (Pada na kanapę.)

SCENA VII.

Ciż, oprócz Kruszewskiego.

ANZELM.

Otóż, panie, masz kobiety. Zamiast cieszyć się, że Kruszewski zostanie na wolności, córka moja płacze.

URUSOW.

Spełniłem względem domu państwa obowiązek przyjaciela, lecz przyszło mi to z trudnością. Sumienie moje czyni mi wyrzuty. Stałem się niegodnym nazwy Rosyanina.

STANISŁAW.

Uspokój się, książę. Postąpiłeś jak Słowianin.

URUSOW.

A to czemu?

STANISŁAW.

Kruszewski stał na czele kółka, działającego nie na szkodę Rosyi, lecz na jej korzyść.

URUSOW.

Nie rozumiem.

ANZELM.

I ja, panie, nie rozumiem.

STANISŁAW.

Kółko ma za zadanie wywalczyć dla Rosyan i dla wszystkich Słowian taką wolność, jak ją rozumieją i do jakiej wzdychają Polacy. Precz z czynownictwem na usługach tyranii, oto hasło nasze i wasze. Urzędnicy mają zajmować stanowiska z woli narodu i pracować dla dobra narodu. Każdemu bez ró-

żnicy stanu ma być otwarte pole do rozumnego zasługiwania się ojczyźnie. Wojsko ma bronić swobód obywatelskich od zamachów partyj przewrotu, strzedz interesów połączonej słowiańszczyzny, a nie gnębić pokrewnych szczepów słowiańskich, lub urojonych nieprzyjaciół na Kaukazie, we Finlandyi lub Mandżuryi. Pragnąc wolności dla samych siebie, szanujmy wolność drugich.

URUSOW.

W jednej godzinie za wiele dla mnie wrażeń. Zdaje mi się, że po odejściu Kruszewskiego niema i dla mnie miejsca w tym domu. Przynajmniej dziś, na razie. Jestem dumny, że panna Marya ofiarowała mi swoją przyjaźń. Mam nadzieję, że i panowie mi jej nie odmówicie. Żegnam. Do widzenia. (Odchodzi.)

SCENA VIII.

Ciż bez Urusowa.

ANZELM.

Otóż, panie, masz babo wesele. Skutki, panie, wychowania za granicą. Socyalistyczne mrzonki, filantropia, tajne sprzysiężenia, szkoły, banki, czytelnie, teatra i zabawy dla łyków. Gdyby nie kochany Urusow, byłbym skompromitowany, 50 naszych robotników zgniłoby, panie, w cytadeli lub na Sybirze, a Kruszewskiemu groził stryczek.

STANISŁAW.

Chwilowe niepowodzenia nie powstrzymują pracy ludzi czynu, ojcze. To, com zamierzał, doprowadzę do końca, lecz nie o to teraz rozchodzi się.

ANZELM.

Właśnie o to rozchodzi się i zapowiadam, panie, stanowczo, że nie zniosę żadnych nowości. Wyperswaduj sobie, panie, raz na zawsze wszystkie reformy, któreby nas naraziły na zatargi z rządem. Precz z marzeniami! Trzeba się pogodzić z losem.

STANISŁAW.

Pomówimy o tem później, ojcze. Jak decydujesz o przyszłości Maryni? Jak myślisz pomódz Kruszewskiemu?

ANZELM.

Kruszewski.... Ha, nawarzył sobie, panie, piwa i teraz je wypije. Niech podziękuje Urusowowi, że go nie aresztowano. Zresztą stać mnie na to, żeby go wynagrodzić za oddane nam przysługi. Za granicą nie zginie.

STANISŁAW.

Towarzyszką życia jego powinna zostać Marynia.

ANZELM.

Czyś ty zwaryował?

STANISŁAW.

On kocha Marynię, a Marynia kocha jego.

ANZELM.

Co? co słyszę?

MARYNIA.

Tak, ojczuszku, kocham Karola całem sercem, całą duszą.

ANZELM.

Gwałtu, panie, co się dzieje. Ziemio, rozstąp się. Oni widocznie wszyscy potracili zmysły. Lecz jam jeszcze, chwała Bogu, zdrów. Czeka nas koligacya z książęcym domem. Urusow posiada charakter

nieposzlakowany, jest mile widzianym na dworze cesarskim, stanowi dla Maryni partyą, jakiej zazdrościć jej mogą córki naszych magnatów, a tu panie....

MARYNIA.

O. biedna ja sierota. Nie mam matki, któraby mnie zrozumiała, któraby odczuła ból mego serca.

STANISŁAW.

Biedny dziadzio! Gdyby nie jego choroba, sprowadziłby nam ojca z fałszywej drogi.

ANZELM.

Droga moja, panie, jest prosto prowadzącą do celu, a tym celem dobro moje, dobro naszego domu, dobro naszego narodu, którego losy złączone z losami Rosyi. Marynia musi zostać żoną Urusowa, zabraniam we fabryce wszelkich innowacyj, a spiskowców, każę, panie, rozpędzić na cztery wiatry. (Wychodzi.)

SCENA IX.

Marynia, Stanisław.

STANISŁAW.

Maryniu, czy ty prawdziwie kochasz Karola?

MARYNIA.

Stasiu! Jak możesz o to pytać? Kocham go nad życie.

STANISŁAW.

Ty jesteś mi siostrą, Karol jest moim przyjacielem. Wy podzielacie moje zapatrywania, popieracie moje plany i zamysły. Nie na to jestem Polakiem, ażeby dopuścić do zakłócenia szczęścia drogich mi osób przez Moskala. Między nim a nami wykopię przepaść niemożliwą do przebycia. Urusow będzie

musiał ciebie się wyrzec, a wówczas ojciec nasz, nie mogąc pogodzić się ze mną w mych przekonaniach, przynajmniej szczęściu twemu i szczęściu Karola stać nie będzie na przeszkodzie. Waszym udziałem żyć i pracować wspólnie dla dobra własnego i dla dobra naszej ojczyzny.

MARYNIA.

Co ty chcesz zrobić, Stasiu?

STANISŁAW.

Poświęcić siebie dla naszej sprawy.

(Obraz. Stanisław zamyślony; Marynia oczy wznosi w niebo. W głębi sceny Wolski błogosławi młodych.)

AKT V.

(Biblioteka, jak w akcie pierwszym.)

SCENA I.

Anzelm, Generał, Sołowiew, Ligaczew.

LIGACZEW.

Wywiązaliśmy się z naszej misyi. Cieszę się, że takie odznaczenie miłościwego nam cara spotkało członka naszego klubu i przyjaciela nas, tutaj obecnych.

LIGACZEW.

Da, da! Order światawo Nikołaja eto wielkie odznaczenie. Powinszować, powinszować!

GENERAŁ.

Panie Wolski, nie wniosłem panu nieszczęścia w dom. Panna Wolska zostanie księżną Urusow, a ten order nadaje panu prawo bywania na carskim dworze. Praszczajcie, kawalir kresta światawo Nikołaja.

ANZELM.

Dziękuję panom i proszę powiedzieć generał gubernatorowi, że pośpieszę do niego osobiście, ażeby mu podziękować w imieniu własnem i całej rodziny Wolskich. (Żegnają się.) Żegnam panów!

(Odprowadza ich do drzwi, a potem wraca na przód sceny.)

SCENA II.

ANZELM (patrząc na pudełko z orderem.)

Tak, panie! Zdaje mi się, że moimi interesami źle nie pokierowałem. Postawiłem na pewne nogi fabrykę i zbogaciłem się, przyczyniając się równocześnie do podniesienia przemysłu krajowego. Jedno powodzenie pociąga za sobą drugie. Książę Urusow stara się o rękę mej córki i zostanie moim zięciem. Herb mego dziecka zdobić będzie mitra książęca. Szlachecka rodzina Wolskich przejdzie do rzędu rodów arystokratycznych, panie, a ja mam prawo zdobić pierś orderem, mam prawo, panie, zbliżać się do tronu...

Czy szczęście moje jest zupełne? Czemu ten motłoch, czemu ci moi robotnicy tak, panie, patrzą na mnie z podełba, pomimo, że mają przy mnie chleb dostatni? Czemu mnie tak rani ten zamglony wzrok obłąkanego ojca? Czemu Marynia, moja ukochana córka, wygląda jak męczennica? Kruszewskiemu zawdzięczam bardzo wiele, a on porzucił mnie i może, panie, przeklina mnie dzisiaj, jako niewdzięcznika. Stanisław, mój jedyny syn, nie na dziadka, lecz na mnie patrzy jak na waryata. Nie dziwię się, rozwiałem wszystkie jego młodzieńcze marzenia.

No, ale moje, panie, marzenia, ziszczają się. (Wyjmuje z pudełka order.) Oto order, oto carskie odznaczenie. To złoto palca nie plami, ten blask brylantów źrenicy nie przegryza. A jednak.... jednak.... jakże to dziwnie brzmi: order carski, order cara moskiewskiego. Moje szlachectwo, szlachectwo Wolskich, nie pochodzi od carów, lecz od polskich królów, od uchwał dawnych sejmów wolnej naszej rzeczypospolitej.

Błazeństwo, panie. Zamiast cieszyć się, ja się smucę. Widocznie nie oswoiłem się dotychczas z myślą, że mnie, panie, Anzelma Wolskiego, spotkał tak wielki zaszczyt.

(Wchodzi Józef i podaje na tacy list.)

Co to znaczy? Ręka Stanisława... Tak jest, podpisany Stanisław. Co on, panie, ma do donoszenia mi listownie? (Czyta.)

"Kochany Ojcze! Trudno mi pogodzić w istniejących w naszym domu stosunkach obowiązki syna z obowiązkami Polaka, zwłaszcza, że ze sprawą naszą narodową połączony los mojej siostry i los mego przyjaciela. Wysoko cenię charakter Urusowa, lecz nie rozumiem, dlaczego Marynia, kochająca Karola, Polaka, ma zostać żoną Moskala, zwłaszcza jeżeli Karol, nasz przyjaciel, nie mniej od Urusowa ją kocha i jeżeli względem niego więcej mamy zobowiązań, niż względem oficera w służbie carskiej.

Kochany Ojcze! Nie dla mnie i nie dla Urusowa miejsce w Twoim domu. Drogi nasze rozchodzą się. Przed wyjazdem za granicę donoszę Tobie, Ojcze, i kapitanowi równocześnie, że denuncyacya, kompromitująca Karola, była fałszywą. Nie on, lecz ja byłem organizatorem kółka patryotycznego, do którego należą nasi robotnicy. Nie on, lecz ja jestem odpowiedzialny w obec rządu moskiewskiego. Nie jemu, lecz mnie wypada chronić się za granicę. Karol opuszcza Warszawę wraz zemną, a gdzie jest miejsce dla Maryni, o tem decydować powinna ona, Ojcze, a nie Urusow. Nie sądzę zresztą, ażeby Urusow chciał zostać szwagrem spiskowca, który na obczyźnie skuteczniej będzie mógł szerzyć ducha

buntu przeciw tyranom, którym służy Urusow, niż w Warszawie...."

To znaczy.... że tracę.... jedynego syna. On nie dba o carskie ordery, a pomimo to jakim on jest olbrzymem, w porównaniu ze mną. Jakim ja w obec niego karłem. On wyrzeka się stanowiska, majątku, koligacyi z zamożnymi, rodzicielskiego domu i ojczystego miasta, ażeby być użytecznym społeczeństwu. Otrzyma za to w nagrodę wieniec cierniowy. Ja stawałem mu na drodze, nie starałem się przejąć jego ideałami, deptałem szczęście najdroższych mi, poniżałem swą godność osobistą i narodową. Utratę własnego szczęścia wynagradza mi ten order carski, order moskiewski. Precz z taką nagrodą samolubstwa, głupoty i poniżenia. (Rzuca order.) Idź, zgiń i przepadnij. Pragnę zdeptać cię w proch, ażeby przez twoją nicość się odrodzić. (Wchodzi Marynia.)

SCENA III.

Anzelm, Marynia.

MARYNIA.

Ojczuszku, dokąd wyjechał Staś?

ANZELM.

Ty nic nie wiesz o jego wyjeździe?

MARYNIA.

Nie wiem, lecz niepokoję się. Mówił do mnie wczoraj tak zagadkowo, wspominał o potrzebie poświęcenia się....

ANZELM.

Tak, on poświęcił się dla ciebie. Przeczytaj ten list.

(Marynia czyta i opuszcza ręce na kolana.)

Przeczytałaś? Spojrzyj teraz tam, na ziemię. Wiesz co tam leży? To order dla mnie, order od cara. Order z brylantami w nagrodę mych zasług. Wiesz, com z nim zrobił? Podeptałem go.

MARYNIA.

Postąpiłeś, ojcze, jak Polak.

ANZELM.

Co powie na to Urusow?

MARYNIA.

Kapitan jest człowiekiem szlachetnym. Nie chciał zgubić Karola, nie potępi Stasia ani ciebie, ojczuszku.

ANZELM.

Karola.... Maryniu, czy ty tak bardzo kochasz Kruszewskiego?

MARYNIA.

Czy ja go kocham, ojczuszku? Gotowam pójść za nim na wygnanie, na ciężką pracę i niedostatek, niż do pałaców książęcych i opływać tam w dostatki.

ANZELM.

Ha, trudna rada, panie. Pierwszym aktem pokuty za carski order niechaj będzie zezwolenie na twój związek z Karolem.

MARYNIA.

Ojcze, dzięki ci. Kocham ciebie obecnie trzy razy, nie, nie trzy, lecz dziesięć razy więcej, niż dotychczas. (Ściska go.)

ANZELM.

Odzyskałem więc córkę. Więcej to warte, niż order. Lecz Karol i Stanisław są skompromitowani.

Trzeba będzie sprzedać fabrykę, przenieść się za granicę i rozpocząć tam nowe życie.

MARYNIA.

Szkoda naszej kochanej Warszawy. Szkoda tysiąca naszych ludzi, naszych robotników, dla których dobra mieliśmy pracować razem, przy których pomocy Staś i Karol chcieli walczyć za wolność Polski.

ANZELM.

Szkoda, lecz niema innej rady.

(Wchodzi Kapitan, prowadząc pod ręce Stanisława i Kruszewskiego.)

SCENA IV.

Anzelm, Marynia, Kapitan, Stanisław, Kruszewski.

KAPITAN.

Przyprowadzam zbiegów. Pana Stanisława ojcu, a pana Kruszewskiego pannie Maryi. (Stanisław wita ojca, Kruszewski Marynię.)

ANZELM (zdziwiony.)

Nic a nic, nie rozumiem.

KAPITAN.

Prędko się wytłómaczę. Panna Marya ofiarowała mi swoją przyjaźń i zobowiązała mnie tem do wzajemności. Nie było mi trudno przy pomocy naszej policyi dowiedzieć się o kryjówce pana Kruszewskiego. Rozmyślałem wczoraj długo nad celami waszego towarzystwa patryotycznego, a otrzymany dzisiaj list pana Stanisława przekonał mnie o konieczności rozmówienia się z panem Karolem nie jako Moskal, lecz jako Rosyanin. Na moje szczęście znalazłem w kryjówce obydwóch zbiegów.

KRUSZEWSKI.

Ja wytłómaczę, w jakim celu książę Urusow sprowadził nas tutaj. Zapewnia, że niema powodu obawiać się dalszych skutków denuncyacyi. Żandarmerya nie będzie mnie poszukiwała z powodu organizacyi kółka patryotycznego.

STANISŁAW.

A mnie, ojcze, przyrzekł książę, że zwróci tobie mój list dzisiejszy, lecz pod warunkem....

ANZELM.

Pod warunkiem?

STANISŁAW.

Że oddasz rękę Maryni Karolowi.

ANZELM.

Książę....

KAPITAN.

Wysoko cenię przyjaźń, ofiarowaną mi wczoraj dobrowolnie przez pannę Maryę. Przekładam tę przyjaźń, pochodzącą z jej własnego serca, nad jej rękę, ofiarowaną mi wbrew jej woli. Przekonałem się, że kocha pana Karola, a wolę i w nim mieć przyjaciela, niż wroga.

KRUSZEWSKI.

Podaję ci moją rękę na znak przyjaźni, kapitanie.

STANISŁAW.

Sądzę, książę, że i moją przyjaźnią nie pogardzisz. (Podaje mu rękę.)

MARYNIA.

Dziękuję panu. (Podaje mu rękę.)

ANZELM.

A ja, panie, powiadam tylko tyle, że wielki ciężar spadł mi z serca.

KAPITAN.

Przyjaźń to nie czcze słowo. Trzeba złożyć dowody przyjaźni. Postarałem się o to, ażeby wasze kółko patryotyczne mogło nadal istnieć bezpiecznie. Obecnie proszę, ażebyście i mnie przyjęli do waszego grona i pozwolili mi organizować podobne kółka między moimi rodakami.

WSZYSCY.

Co?

KAPITAN.

Powiedziałeś, panie Stanisławie, że zadaniem waszych kółek wywalczyć wolność Słowian w takiem znaczeniu, w jakiem rozumieją ją Polacy. Za taką wolność pragnę i ja walczyć, jako Rosyanin czystej krwi, jako prawy Słowianin. Nie splamię mego oficerskiego munduru, dążąc do wywalczenia wolności Rosyi z pod jarzma tyranów.

ANZELM.

Słuchajcie! Otrzymałem dzisiaj carski order i dopiero wówczas otworzyły mi się oczy, że postępuję w mojem życiu złą drogą. Rezultat mych rozmyślań jest ten, że, panie, order tam, na ziemi, zdeptany nogami. Obecnie między wami odrodziłem się. Jestem takim patryotą, jak wy. Zapiszcie mnie także na członka waszego kółka, a nadto Stanisławie, podwyż płacę robotnikom, zakładaj szkołę dla ich dzieci, czytelnię dla młodzieży, kasę oszczędności dla wszystkich, kasę emerytalną dla starców, salę zabaw, teatrów, koncertów i odczytów dla potrzebu-

jących rozrywki i nauki. Pan Kruszewski będzie ci pomagał po dawnemu.

STANISŁAW.

A Marynia?

ANZELM.

Miejsce Maryni przy boku tego, którego sama sobie wybiera za męża.

(Marynia bierze za rękę Kruszewskiego i przystępuje do Anzelma.)

KAPITAN.

Dobrze, lecz pod jednym warunkiem, że Moskal będzie drużbą.

STANISŁAW.

Nie Moskal, lecz brat Słowianin.

SCENA V.

Wchodzi Józef i Joanna.

JÓZEF.

A to proszę wielmożnego pana, Joasia koniecznie chce, żebym się z nią ożenił.

JOANNA.

To nieprawda, to Józef koniecznie chce, abym za niego wyszła za mąż.

ANZELM.

To znaczy, panie, że i jedno za tem i drugie nie od tego. W chwili ogólnej radości i szczęścia niech i was Pan Bóg błogosławi.

SCENA VI.

Ciż, Wolski, Antoni.

WOLSKI.

Na bagnety naprzód! Marsz! Bij, kłój, nie dawaj

pardonu! Moskal łotr, złodziej, morderca, podpalacz. (Rozgląda się.)

Widzę twarze rozpogodzone. Widzę pary kochające się. Widzę radość i szczęście. Tu wszyscy swoi. A to kto? (Wskazując na Urusowa.) W mundurze moskiewskim, lecz to nie Moskal. To nie łotr, złodziej, podpalacz. On nasz, on dobry człowiek, jego mundur nie splamiony. To rycerz.

ANZELM.

Umysł ojca rozpogodził się.

STANISŁAW.

Bo dzisiaj czterdziesta rocznica ostatniego powstania. Wschodzi jutrzenka wolności Polski i szczęścia nas wszystkich.

(Obraz. Za sceną śpiew.)

KONIEC.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Biblioteka Główna UMK
300043342824

Biblioteka Główna UMK
300043342824
Biblioteka Główna UMK Toruń
Arch. Emigracji
940851

Biblioteka Główna UMK
300043342824
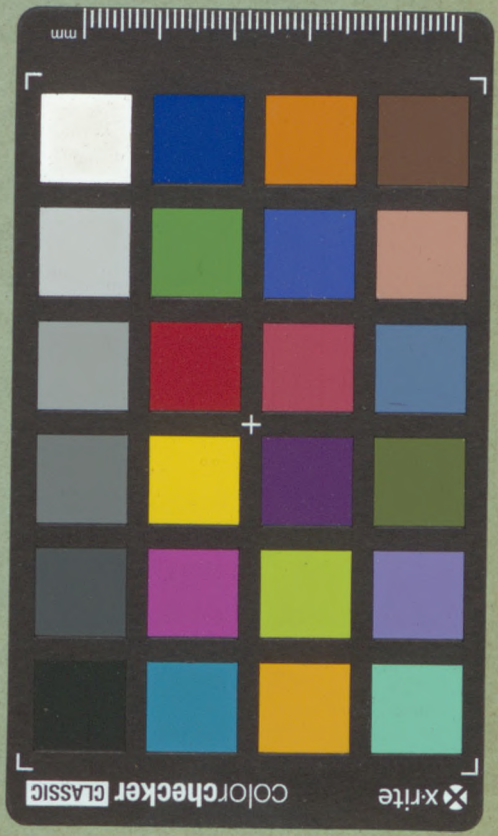
Biblioteka Główna UMK Toruń
Arch. Emigracji
940851